

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

(Ciąg dalszy).

W pięć minut potem wszedł tam za nim i drugi jegomość.

— Doskonale mruczał do siebie Lapipe, który z rogu ulicy des Dames śledził to wszystko.... Byłem pewny tego.... Małutkie złodziejstwo z narkotykami lub chloroformem przygotowuje się na tę noc!... Wspaniale udaje mi się, za jednym zamachem dokonam cudownego podwójnego ciosu, który zakończy wspaniałe moją karierę.

Czekał jeszcze przez kwadrans, a ponieważ nikt nie wychodził z hotelu, skierował się sam do niego. Gdy w kancelaryi wymienił swój tytuł inspektora policyi, właściciel schylił się przed nim uniżenie i zapytał, czym może mu służyć.

— Dwóch ludzi jeden za drugim przyszło tutaj do hotelu?

— Tak, panie inspektorze.

— Dobrze. Gdzie pan pomieścił pierwszego?

— Pod numerem dziesiątym, panie inspekto....

— A drugiego?

— Pod jedynastym, panie inspek....

— Obok?

— Wprost, panie insp....

— Dobrze. Czy zapisali swe nazwiska w książkę?

— Proszę pana inspektora, ja zawsze jestem w porządku z...

— Nie przyszedłem sprawdzać meldunków. Proszę mi pokazać książkę.

— Pochylił się nad księgą, którą podał mu bojaźliwie gospodarz i przeczytał:

Józef Durand, rentier z Bordeaux.

A pod tem:

Julius Dupont, bez zawodu z Nantes.

— Ah!.... Durand?... Dupont?... Znam rodziny tego nazwiska... Powinienem przypuszczać — dodał z uśmiechem, że te zuchy nie są tak naiwni, by zapisali się prawdziwie!...

Zwrócił się do gospodarza i zapytał:

— I cóż panu powiedzieli pańscy goście?

— Pierwszy z tych panów położył się spać i zażądał tylko, by mu na godzinę siódmą przynieściono dwa jajka i kotlet.

— Dobrze. A drugi?

— Nic.

— Naturalnie, zupełnie.

— Jakto naturalnie?

Lapipe zmarszczył brwi.

— Czy pan chce koniecznie wiedzieć wszystko, panie gospodarzu?

Hotelarz schylił się z szacunkiem.

— Przepraszam najmocniej pana inspektora, lecz ośmieliłem się tylko...

— Do wyjścia — przerwał agent, jakby nie słyszał jego tłumaczeń i wskazał na główne drzwi — czy tylko te drzwi służą?

— Tak, panie inspektorze.

— Doskonale. Czy pan ma służącego?

— Tak, panie inspektorze.

— Gdzie on jest?

— Poszedł na wesele swej siostry i wróci dopiero jutro w południe. Na razie ja sam...

— Tem lepiej... Ach! Jeszcze słowo... Czy jest tu telefon?

— Niestety, panie inspektorze, jest.

— Dlaczego nie?

— Nigdy go nie używamy. Nasz hotel jest tak niewielki, iż te czterysta franków rocznie idą na marne. Mój poprzednik założył go tutaj, lecz ja...

Zatrzymał się jak zahypnotyzowany.

Lapipe, słuchając go, oderwał od twarzy swe siwe wasy, potem wyciągnął z kieszeni blond perukę z faworytami tego koloru i ubrał się w nią, a jednocześnie różem zafarbował sobie nos, poczercił brwi tak, iż stał się zupełnie innym.

Zrzucając z siebie jednym ruchem marynarkę — rzekł wesoło:

— A teraz niech mi pan da biały fartuch.

Zamienił się w posługacza hotelowego.

— Obecnie już pan gospodarz, jeżeli chce, może pójść na lampkę wina z przyjaciółmi, niech pan się nie żenuje... A jeżeli niema pan na to chęci, to proszę odpocząć u siebie, a ja, gdy będzie potrzeba, to dam panu znać... Przedtem niech pan nie schodzi na dół!...

Podobne życzenie było rozkazem. Gospodarz hotelu „Portugalskiego Księcia“ poddał się woli agenta.

— Dobrze, panie inspektorze — odrzekł, kłaniając się z uszanowaniem.

Po chwili wyszedł, udając się do siebie.

— Przynajmniej — myślał — hotel mój będzie dobrze strzeżony... byle tylko wszystkie te historie z policyą nie zaszkodziły mi w dzielnicy!...

Lapipe zaś, gdy został sam, siadł na krześle i zacierając według swego zwyczaju ręce, mruknął do siebie radośnie:

— Oto obydwa w pułapce... już ich trzymam... mogą być spokojni: pod tą podwójną opieką mój jegomość z milionami nie umknie!... Wszystko będzie jak przewidziałem... Aż do siódmej godziny nie mam nic innego do roboty, jak tylko uzbroić się w cierpliwość... Mniejsza z tem, gdy zaniosę jaja i kotlet z przyjemnością porozmawiam z moim niezwykłym włamywaczem...

Rozmawiał jeszcze z sobą, gdy jakiś jegomość, ubrany w kratkowany angielski kostium, przypatrzył się przez chwilę hotelowi, wahając się, czy do niego wejść, wreszcie zdecydował się i zwrócił się do Lapipa:

— *You don't speak english?*

Lapipe spojrzał na niego zdziwiony i odparł niechętnie:

— Nie rozumiem.

Przybysz zdawał się być tem zmartwiony.

— *Aoh!... how bothering!... I can't speak french!...*

Wyjął z kieszeni mały słownik angielsko-francuski i nie bez pewnej trudności zawiązała się między nimi następująca rozmowa:

— Pokój?

— Dobrze.

— *Not dear?...* Nie drogo?...

— Nie.

— Ja pojechać nazajutrz... *aoh*, jutro, prosto kolej Saint-Lazare... do London.

— Dobrze.

— Bagaże moa... na Orleans... Pan może poszukać, on?

— Dobrze, panie...

Lapipe myślał:

— Jutro umówi się z gospodarzem. Nudzi mnie ta angielska mała. Trzeba się go pozbyć. Nie wie gdzie mi się. Przybywa prawdziwy gość, istotny cudzoziemiec i na mnie musiał trafić.

Zdecydowany jednak wytrwać w tej roli do końca, podszedł do tablicy, na której wisiały na mościeżnych gwoździkach klucze, zdjął pierwszy i popatrzył na numer.

— Pan pozwoli za mną. Dam panu numer 14...

Gdy przybysz, nic nie rozumiejąc, nie ruszał się, słowa swe poparł żywa mimiką:

— Proszę za mną!

— *Aoh, very well!...*

Przed wyjściem jednak z kancelaryi zatrzymał się i powtórzył:

— Bagaże moa?

— Przecież powiedziałem, że jutro je sprowadzą, jutro! ...Dostę już gadania, spieszymy się!... Mam co innego do roboty, niż na pana czas tracić, saperlipopette!...

Zamknięty w swym pokoju Anglik zaczął śmiać się wesoło:

— Biedaczysko ten agent... dał się wywieść w pole!... Nie poznał swego kolegi... nie a nie ma wachu... biedny on!

Podróżny ten, który ani słowa zdawał się nie umieć po francusku, był właśnie sławnym detektywem amerykańskim, Newtonem. Wysłany przez szefa policyi z Nowego Yorku w poszukiwaniu za zabójcą starej miliardarki, Aesthon, której syn wyznaczył wielką nagrodę za odkrycie sprawcy morderstwa, przybył do Paryża. Sprawa ta z obawy, by morderca, który skradł całą biżuterię ofiary, nie ukrył się z lęku w jakim zaciszu i nie udaremnił poszukiwań, nie była wcale rozgłaszana. Wysłano tylko depesze do konsułów amerykańskich we wszystkich portowych miastach, by komunikowali Newtonowi do Paryża podejrzanych podróżnych okrętowych.

Dziwnymi drogami a zapewne przy pomocy przekupstwa dostał się raport komisarza w Marsylii o zajściu na *Starym Czarnym Psie* do rąk amerykańskiego konsula w tem mieście.

W pięć minut potem telefonował on do Newtona:

— Jaki procent dla mnie, jeżeli wskażę ślady mordercy z Nowego Yorku?

— Dziesięć procent.

— Well!

Konsul był widocznie praktycznym człowiekiem, ale za to Newton nie wątpił ani chwili, że pasażer

z „Starego Czarnego Psa“ jest poszukiwaną przez niego osobą.

W ten sposób nie dostrzeżony ani przez Forstera ani przez Lapipa, detektyw amerykański śledził ich obu i teraz wynajął pokój w hotelu, który posłużył za schronienie i dla jego przyszłych ofiar.

III.

Pokój Nr. 10.

Gdy zegar stojący na kominku w kancelaryi hotelowej wybił siódmą godzinę, Lapipe zerwał się gwałtownie, jakby podrażniony sprężyną. Przed chwilą myślał o zatelefonowaniu do dyrekcji policyi, iż sprawca zamachu na bank w Chicago śpi spokojnie pod numerem 10 w hotelu Księcia Portugalskiego i może być każdej chwili wydany w ręce agentów. Bedzie to niezwykle aresztowanie, które nie tylko przyniesie zaszczyt policyi francuskiej, ale i dla niego oprócz znacznej nagrody zdobędzie uznanie prasy i prefekta za przezorność, zręczność i przedsiębiorczość. Plan jego był bardzo prosty. Od gospodarza dowiedział się, że pokój Nr. 10, zajęty przez mniemanego Duranda, położony jest właśnie nad kancelaryą i że nawet najbliższego kroku nie można w nim zrobić, by trzask podłogi nie rozległ się na dole.

Przy pierwszym podejrzanym szmerze w nocy, zdradzającym, że szczur hotelowy wybrał się na łowy, wyjdzie na korytarz i stanie na czatach przy schodach. Gdy lokator numeru 11 już uśpi jakim narkotykiem swego sąsiada i ograbi go, będzie stał się potem wyjść najspokojniej z hotelu jak zwykły gość, który udaje się na pociąg lub idzie na spacer, lecz w chwili, gdy będzie przechodził koło Lapipa, agent zarzuci mu szybko kajdanki, tak iż ten schwycony w ciemnościach nie będzie się mógł bronić; potem opiekę nad nim powierzy zwykłemu policyantowi.

To go jednak nie interesowało. Chodziło mu głównie o to, by dla siebie zatrzymać zaszczyt aresztowania Amerykanina i ułatwić w ten sposób przyznawanie sobie za to nagrody. Poszedł do drzwi wchodowych i zamknął je starannie, klucz zaś schował do kieszeni, szepcząc do siebie:

— Nikt już stąd nie wyjdzie bez mego pozwolenia.

Potem ułożył na tacy nakrycie, położył jajka i kotlet i podchodząc do pokoju 10, zapukał.

— Proszę!

Forster, a właściwie Durand, gdyż pod tem nazwiskiem zapisał się, siedział najspokojniej w lekkim neglizhu na krześle i przeglądał rozkład jazdy. Na stole koło okna stała na pół otwarta żółta walizka; w jednej przegródce widniały jakieś pakiety, owinięte w dziennik, nie zdradzające jednak swoim kształtem nic szczególnego; zawartość drugiej przegródki była niewidoczna.

Może tam właśnie znajdowały się paczki banknotów skradzionych, których rzeźmieszek nie zdeponował przecież w żadnym banku amerykańskim.

Zaden z tych szczegółów nie uniknął wzroku agenta, gdy wszedł do pokoju. Lecz nieznajomy miał minę tak spokojną, iż wzbudził nawet pewne wahanie w Lapipie.

— A może kapitan pomylił się? Może to jest uczciwy przejezdny, który udając się z południa do Bordeaux, zatrzymał się czasowo w Paryżu?

W chwili tej ten nieznany gość zwrócił na niego oczy, pytając się czego chce i utkwiał na nim swój wzrok.

Teraz Lapipe nie miał już wątpliwości. To były te jasne, zimne, stalowo-niebieskie oczy, które tak dobrze zapamiętał kapitan.

Stawiając tacę na krześle, skierował się agent do walizy, by pod pozorem uprzątnięcia stołu zająrzeć do środka, gość jednak nie dopuścił do tego, gdyż zerwał się i zawołał żywo:

— Proszę nie ruszać!

I sam przeniósł walizę na łóżko.

— Hm, hm — pomyślał Lapipe — skarb musi być tutaj.

Gość pożałował zapewne swej żywości, która mogła zwrócić szczególną uwagę na tę walizę, gdyż pośpieszył wytłomaczyć się:

— Znajdują się tam rzeczy nader kruche, których trzeba się dotykać z wielką ostrożnością!

— Gadaj sobie, mój przyjacielu — mruknął pod nosem Lapipe.

Potem zapytał głośno:

— Czy pan pozostanie do jutra?

Mniemany Durand nie okazał najmniejszego zdziwienia wobec tego pytania, które mogło wydać się niedyskretne, lecz odpowiedział:

— Tak; proszę obudzić mnie o dziewiątej, jeżeli bym spał jeszcze, o dziesiątej chcę wyjechać ekspressem do Bordeaux.